



**Tłumaczenie dla: Translations\_Club**

**Tłumacz: SilverLuna**

**Korekta: isiorek03**

## Rozdział 1

Według Marka Twaina, w jednej z pozycji jego notatnika datowanej na 1897 roku, czas jest rozbity na pojedyncze atomy, rozbity na nieskończenie małe fragmenty, w których chwile, które już były i minęły są zapomniane i bez wartości, podczas gdy chwile, które jeszcze nie były doświadczane nie istnieją i są bez znaczenia. Tylko teraźniejsza chwila i najbliższa chwila mają znaczenie; każda chwila jest wyizolowana, wyraźnie zaznaczona. Nawet wspomnienia, połączone trwale z mózgiem by dać pojęcie wymiarowi czasu, szybko mijają.

Ponieważ umieramy. Ponieważ każde życie jest pojedynczą świadomą chwilą, wypalającą się.

### *Zagubiony w czasie.*

Nie było żadnych zombie na tym przyjęciu. Byłabym szczęśliwa mogąc znaleźć kilku. Jeśli nic innego, rozmowa o drobiazgach byłaby wtedy mniej obraźliwa. Nadto nie byłabym kuszona, aby wypchnąć śpiewaczkę operową za burtę jachtu do morza.

- Ale moja droga, ty wyglądasz na tak wykształconą, - poskarżyła się Pani Borega, na tyle głośno by głowy innych gości odwróciły się w naszym kierunku a ich właściciele zaczęli się na nas gapić - Co masz na myśli mówiąc, że jesteś z Teksasu?

Jej zniewaga była namacalna, jej strapienie słyszalne w słabym drzeniu głębokiego vibrato samogłosek.

Teksas widocznie był apokaliptyczny. Mogłam również powiedzieć jej, że byłam zabójcą i że dwa małe demony ukrywające się w moich włosach byłyby więcej niż szczęśliwe mogąc przypalić jej twarz.

Oba te fakty były prawdą. Ale ona nie musiała wiedzieć o tym.

Delikatna dłoń dotknęła mojego łokcia. Popatrzyłam w górę, by zobaczyć obok siebie Granta, opierającego się ciężko na swojej lasce. Jego spojrzenie było lekko rozbawione, ale równocześnie mroczne, po czym z krzywym uśmiechem skupił swoją uwagę na Pani Borega.

- Cudowne przedstawienie było ubiegłej nocy- powiedział Grant swoim głębokim huczącym głosem- Twoja Aida sprawiła nam ogromną radość.

Pani Borega opuściła spojrzenie, uśmiechając się, ale, zanim mogła podziękować za komplement, albo poważnie, albo powiedzieć Grantowi, że był gorącym, gorącym byłym duchownym i ona chciałaby odegrać „Ptaki ciernistych krzewów” na jego tyłku, Grant dodał,

- Ale szczerze, Suzanne, byłem wstrząśnięty dowiadując się, że używałaś mikrofonu.

Kobieta zamarła, gapiąc się na niego. Głęboki szkarłatny rumieniec oblał jej dekolt i dalej pokrył twarz. Cała ta czerwień była widoczna pod ciężkim, bladym podkładem jej makijażu. Pomyślałam, że Pani Borega była zakłopotana, ale wówczas jej wargi zacisnęły się a wyraz jej oczu stwardniał i było to jak obserwowanie skunksa podnoszącego swój ogon.

- Mój głos- powiedziała - nie potrzebuje żadnego wzmocnienia!

- Jestem pewny, że to nie miało miejsca - powiedział Grant, w najbardziej pojednawczym tonie jaki można było sobie wyobrazić - Tylko pomyślałem, że być może byłaś chora. Używanie mikrofonu nie jest

niczym, czego trzeba by się wstydzić, to jest to, co powiedziałem Rogerowi Breckinowi podczas obiadu.

Pani Borega tak gwałtownie łąpała oddech, że tym razem ludzie zrobili więcej niż tylko odwrócili swoje głowy.

Rozmowy ustały. Szklanki z drinkami zostały opuszczone. Zapałam się mocno na trzycalowych obcasach, na których chwiałam się przez całą noc i mimochodem potarłam tył szyi. Mały gorący język skrobął wewnątrz mojej dłoni.

- Powiedziałeś, że Roger...- zaczęła mówić śpiewaczka operowa, dotykając swojego gardła. - Och, mój Boże! I z tym okrzykiem Pani Borega uciekła zatrzymując się, co kilka kroków żeby zlustrować wzrokiem zgromadzony tłum. Grant wydał krótki, brzęczący dźwięk, przesunął swoją wielką, ciepłą rękę dookoła mojej talii i pokierował mną w przeciwnym kierunku. Jego utykanie na nogę było bardziej wyraźne niż zwykle. Dostosowałam moje kroki, tak by były krótkie, udając, że to z powodu obcasów jestem tak uważna.

- Nie jestem żadnym ekspertem opery - powiedziałam, splatając moje palce z palcami Granta, - ale myślę, że właśnie zrujnowałeś, noc tej kobiecie. Grant był wyższy ode mnie, nawet kiedy pochylał się nad swoją laską, rażąco przystojny, postawny mężczyzna z brązowymi włosami ocierającymi się o szerokie plecy jego smokingu, z ciemnymi oczami i z ostrym, ponurym humorem.

- Roger Breckina pomaga sfinansować Seattle Opera. Jest jednym z najbogatszych ludzi na Zachodnim Wybrzeżu. Jest też dobroczyńcą Susan Borega, ale jego standardy wiele wymagają. Jedna aluzja, że jej głos potrzebuje mikrofonu by wypełnić salę, za którą on zapłacił i będzie zrujnowana.

- Ach. Ale przy obiedzie usiedliśmy z Watanabe i Andersonem. Żadnego Breckina w zasięgu wzroku. Zabawne jak to działa. - Zareplikował Grant i oplótł ramię w ochronny sposób wokół mojej talii. Powstrzymałam uśmiech i spojrzałam ponad relingiem jachtu. Zamierzałam tylko popatrzeć na wodę, jeszcze nieprzyzwyczajona do życia blisko morza, ale zamiast tego dostrzegłam trzy demony sunące przez zimny, ciemny ocean jak uprawiający surfing ludzie, ich szpony utkwily w kadłubie statku.

Zee, Raw i Aaz. Para unosiła się z ich małych kanciastych ciał, wraz z bańkami i pieniącą się pianą. Ich czerwone oczy błyszczące jak rubiny strzeliły ogniem, kiedy zobaczyły, że je obserwuję, posłały mi znaki podnosząc do góry trzy kciuki. Moi chłopcy, zakołysali się. Miałam niewyraźne wspomnienia z dzieciństwa tej trójki oglądającej „Flippera” w starym hotelowym telewizorze oraz „Muscle Beach Party” z Annette Funicello, o której oni wciąż myśleli gorąco. Wszystko, czego tych trzech teraz potrzebowało, to piasek, odosobnione miejsce i kilka pokrytych czekoladą desek surfingowych by je zjeść przy ognisku i ich fantazja byłaby kompletna.

Strzepnęłam moje palce przy nich w subtelnej fali i dwa cienkie głosy zaczęły brzęczeć wewnątrz mojego ucha, długie ciała skręciły się pod moimi włosami w subtelnym węzowym nacisku, sprawiając, że po tych wszystkich latach chciałam klepnąć się w głowę, żeby się upewnić, że żadne ogony albo pyski nie sterczą z moich włosów. Zmuszałam moje ręce by nadal pozostały nieruchome, polegając na wierze i zaufaniu. Nikt inny nie mógłby zobaczyć Deka i Mal.

Mogłam ich czuć, ale dwa demony ukryte w moich włosach były tylko częściowo w tym wymiarze, ciała pozostawały tutaj i w jeszcze innym miejscu, zagubionym w jakimś tajemniczym królestwie, przez

które wszyscy moi chłopcy podróżowali jako opancerzone, opuszczone kamienie.

Moi obrońcy. Moi przyjaciele. Moja rodzina, związana z moją krwią aż do mojej śmierci i przekazania ich dalej mojej córce, którą pewnego dnia będę miała. Właśnie tak zostali przekazani mnie.

Grant spojrział ponad barierką, krztusząc się od cichego, spokojnego śmiechu a następnie obrócił się by spojrzeć na tłum.

Obserwując atmosferę. Czytając najciemniejsze sekrety każdego z gości nie używając przy tym niczego innego oprócz spojrzenia. Przez długi czas Grant myślał, że cierpi na coś w rodzaju doznawania równoczesnego, polegającego na kojarzeniu ze sobą wrażeń odbieranych przez różne zmysły, właściwość pozwalająca między innymi na widzenie dźwięku jako koloru, ale teraz Grant znał różnicę.

- Maxine- powiedział Grant, wymawiając moje imię cicho, więc nikt go nie usłyszał. Przez cały dzisiejszy wieczór posługiwałam się przybranym imieniem, ale słysząc moje prawdziwe imię odczułam brak bycia sobą.

- Dziękuję, że przyszedłeś tu ze mną dzisiaj wieczorem.

Posłałam mu krzywe spojrzenie.

- Miałam pozwolić, żebyś stanął twarzą w twarz z tymi wszystkimi hienami samotnie?

Grant uśmiechnął się, ale jego uśmiech był napięty i nie mogłam nie zauważyć jak ostrożnie przeniósł ciężar ciała z chorej nogi. Jego chwyt na lasce był bardzo mocny. To była długa noc spędzona na stojąco, albo zmuszająca go do siedzenia ze zgiętym kolanem. Kość nie goiła się dobrze, kiedy została zmiażdżona, ale Grant nigdy nie brał niczego

silniejszego niż Ibuprofen i dla takiego starego urazu jak jego, to nic nie pomagało.

Lepszy ból niż alternatywa. Dla naszej dwójki, kontrola była najważniejsza. Mogłabym być niebezpieczna, ale tak samo było z Grantem. Bardziej lub mniej.

Poszłam za jego bezcelowym spojrzeniem, kierując się w stronę przyjęcia. Znajdowaliśmy się na luksusowym jachcie, krążącym po morzu dookoła Zatoki Elliota. Słońce zaszło godziny temu i mogłam zobaczyć błyszczące światła w centrum miasta przez dalekie okna, rzucając przelotne spojrzenie dookoła mężczyzn i kobiet, którzy lśnili prawie tak samo jasno. To nie był mój rodzaj towarzystwa. Również nie Granta, chociaż on poruszał się pośród nich z łatwością, której mu zazdrościłam. Zawsze byłam outsiderem, ale dawniej moje poczucie izolacji nie miało nic wspólnego z byciem człowiekiem. Moje uczucie izolacji nie miało nic wspólnego z byciem człowiekiem. Po prostu nie byłam tak ludzka jak oni.

Elita Seattle. Magnaci komputerowi, dyrektorzy Boeinga, sławni powieściopisarze i muzycy, gwiazdy sportu i gwiazdy filmowe; stare pieniądze, nowe pieniądze, więcej polityków niż mogłabym potrząsnąć kijem; jak również jeden były duchowny, który był sławnym filantropem i ja. Jego randka.

Ostatni żywy Wartownik wielowymiarowego więzienia, w którym osadzono armię demonów czekających by się uwolnić i zniszczyć ziemię.

Ale dzisiaj wieczorem byłam w sukience. Pierwsza założona prze zemnie sukienka od lat. I po raz pierwszy od lat, zdecydowałam się pokazać jak kobieta. Suknia, głęboki dekolt, bez pleców, krótka jak cholera. Jasnoczerwona. Długie czarne włosy luźno rozpuszczone, lekko się kręciły. Dobrze, że to było nocne przyjęcie, inaczej musiałabym przerobić coś ze swojej garderoby, a tego było mało. Nikt poza Grantem i

garstką innych kiedykolwiek widział moją skórę podczas gdy słońce świeciło. Tak było bezpieczniej. Niewielu kiedykolwiek widziało moją prawą rękę, ale dzisiaj wieczorem był to drugi rzadki wyjątek. Spojrzałam w dół na gładki metal okrywający kilka z moich palców, żyły srebra przebiegały poprzez wnętrze mojej dłoni aż do świecącego mankietu modelującego perfekcyjnie mój nadgarstek. Nie całkiem rękawiczka, ale prawie. Wiązana tak blisko mojego ciała i krzywizny moich kości oraz stawów, że czasami wydawało się, iż metal zastąpił ciało

Zbroja była magiczna, lub coś w tym rodzaju. Związana ze mną na całe życie. I chociaż posiadanie Tej... Rzeczy... okazało się użyteczne w przeszłości, metal miał brzydki zwyczaj rośnięcia. Zwykle nosiłam rękawiczkę by to ukryć, w każdym razie, podczas dnia, ale to była dobra noc by przetestować starą teorię: że większość ludzi przyjęłaby nawet najdziwniejszą rzecz za normalną, ponieważ po prostu nie mogliby wyobrazić sobie niczego innego. Nie okazałam się być zła. Magiczna zbroja nie stała się niczym niebezpieczniejszym niż biżuteria. To było Seattle, mimo wszystko. Jeśli nie miałeś jakiegoś rodzaju piercingu albo czegoś w rodzaju body art, praktycznie mogłeś być nieobsłużony w miejscowych kawiarniach.

- Czy znalazłeś jakichkolwiek sponsorów dla schroniska? - Zapytałam, kiedy długonoga blondynka przeszła obok uczepona na ramieniu olbrzyma, którego twarz niewyraźnie rozpoznałam, jako kogoś w rodzaju gwiazdy sportu. Członek Seattle Seahawks, być może. Facet gapił się otwarcie na moje piersi a następnie moją twarz, ale nie wydawał się być zakłopotany aż do chwili kiedy spojrzał w bok i zobaczył Granta marszczącego brwi.

- Kilku, - powiedział Grant nadal obserwując piłkarza. - Niewiele gotówki ofiarowano, tylko towary i usługi. Prawdopodobnie będę musiał



sprzedać jeden z apartamentów w Hongkongu, ale to jest ostateczność. Nawet na tym rynku nie powinienem mieć kłopotu, żeby znaleźć jakiegoś magnata skłonnego wyłożyć trzynaście milionów.

- Racja - powiedziałam sucho. - Drobną zmianą. Cokolwiek by się udało.

Grant posłał mi ponury uśmiech.

- Wątpię żeby mój ojciec oczekiwał, aby jego pieniądze i cała własność były wykorzystywane w ten sposób kiedy mi je zapisywał.

- Zabrzmiało to tak, jakby twój ojciec uważał, że to coś „brudnego”. Nie ma niczego haniebnego w utrzymywaniu działalności schroniska dla bezdomnych, albo w pomaganiu ludziom.

-Wiem, - powiedział Grant cicho, ciągle lustrując tłum. - Ale nie lubię jakichkolwiek uwag innych niż twoich.

Dość prawdziwe. Grant nie potrzebował darowizn by utrzymywać dalej schronisko, ale było mało sprawiedliwości, jeśli chodziło o otrzymywanie rzeczy za darmo albo w publicznej i prywatnej działalności dobroczynnej. Niestety, działalność charytatywna oznaczała takie wydarzenia jak to, gdzie jego wygląd, historia, bogactwo i to kim był, wydatkowano czyniąc Granta pomniejszą sławą.

To był też powód, dla którego przez minione osiem miesięcy naszego związku, odrzucałam zaproszenia do uczestniczenia w podobnych wydarzeniach, na które Grant był zapraszany.

Tchórzostwo, usprawiedliwione jako samoobrona. Bałam się ludzi zadających zbyt wiele pytań. Nie byłam przyzwyczajona do skupiania na sobie uwagi innych. Nie byłam przyzwyczajona do bycia zauważaną, i z całą pewnością nie dla bycia uwieszoną na ramieniu mężczyzny.

Mężczyzny, jak mi powiedziano, który ani razu w ciągu pięciu lat nie zmienił daty tych wydarzeń. Co z powodu tego, co już wiedziałam na temat Granta nie było wielkim zaskoczeniem.

Ale to nie ja się miałam wyróżniać.

I jak moja matka zawsze mówiła, był to dobry sposób żeby umrzeć i to szybko.

Statek zadokował godzinę później. Każda kość w moich stopach czuła się połamana a podeszwy moich stóp paliły. Utykałam schodząc w dół trapu, walcząc by utrzymać resztki godności. Grant miało swoje własne trudności.

- Długa gorąca kąpiel - wyszeptałam

- Długa gorąca noc po kąpielu? - Zapytał Grant, krzywiąc się kiedy trap podskakiwał pod stopami tylu ludzi. Jego laska poślizgnęła się na czerwonym dywanie, który był położony na grubych szynach metalu stanowiących trap.

Schwyciłam jego rękę.

- Wyprzedzasz sam siebie cwaniaczku. Nawet jeszcze nie opuściliśmy tej... Przeklętej łodzi.

Błysnął do mnie bolesnym uśmiechem.

-Ścigam się z tobą.

Jęknęłam i zarzuciłam jego ramię ponad moim, sprawiając, żeby wyglądała to jak gdybym potrzebował go do przytrzymania mnie. Grant westchnął i złożył szorstki pocałunek na czubku mojej głowy. Kilku gości miało kierowców czekających na nich, ale większa część prowadziła osobiście i wybrała miejsca na parkingu, które zabezpieczyli organizatorzy przyjęcia.

Byłam wrażliwa na punkcie tego, kto siadał za kółkiem mojego mustanga i zostawiłam samochód przecznicę dalej od portu w krótkim zaułku. A teraz plułam sobie w brodę za to, ale to w niczym nie mogło pomóc. Nie chciałam ryzykować pytania odnośnie tego, dlaczego było tyle poszatkowanych misiów na moim tylnym siedzeniu, wraz z mnóstwem gwoździ, kartonów po Fast Food, noży i połowy zjedzonego nietoperza oraz aluminiowy kij baseballowy ze śladami zębów.

Tak szliśmy, powłócząc nogami i potykając się w dół chodnika i nie byliśmy sami. To był... Tłum ludzi w sobotnią noc. Ludzie wszędzie, młodzi i starzy. I demony. Moje demony. Moi chłopcy.

Czerwone oczy błysły w cieniach, obserwując nas spomiędzy pęknięć poniżej zamkniętych drzwi i... Szprych kołpaków. Powyżej mojej głowy usłyszałam szepty i tarcie szponów po kamieniu oraz inny rodzaj szumu w powietrzu. Częściowo pochodził on od demonów w moich włosach, ale w większości to był szum miasta: silniki huczące nisko i ciepłe brzęczenie gorącej elektryczności przebiegającej przez kable w budynkach, dookoła których przechodziliśmy. Usłyszałam śmiech, tłukące się szkło, pulsowanie muzyki od otwartych drzwi baru, jęk z alei i długi płynny pęd moczu uderzającego w beton; i mały pies, szczekający wściekle w apartamencie powyżej naszych głów.

Nie zobaczyłam żadnych zombie w tłumie. Zombie, które nie były żywymi trupami, ale ludźmi... Opętanymi przez pasożytnicze demony, którym udało się przez tysiąclecia przeniknąć mury więzienia. Demony pasożyty mogłyby przejąć słaby umysł i zmienić ludzkiego gospodarza w coś więcej niż tylko marionetkę, w środek niosący ból i cierpienie: ciemną energię, która była czymś więcej niż tylko posiłkiem. Dotarliśmy na parking, betonowy plac wciśnięty między dwoma biurowcami. Ograniczony przez murek pokryty grubym bluszczem i plamami graffiti.

Zee był tylko tak wysoki jak moje kolano, przeważnie humanoidalny i wolał stać ze zgarbionymi ramionami i końcami jego czarnych szponów wlokącymi się po kamieniach i pozostawiającymi po sobie wąskie rowki. Jego mała twarz była kanciasta jak czubek noża, każde grube pasmo włosów było ostre jak brzytwa. Szereg kolców przebiegał wzdłuż jego kręgosłupa. Jego skóra była koloru węgla zmieszanego z rtęcią i wiedziałem z doświadczenia, że była niezniszczalna. Nic nie mogłoby zabić Zee albo jego braci.

Ale przyjęcie na oceanie było skończone. Jego czerwone oczy miały uroczysty wyraz. Wyprostowałam się z niepokojem podobnie jak Grant.

Dek i Mal zaczęli szturchać swoimi głowami o moje włosy ciągle się poruszając cicho.

-Maxine- zazgrzytał Zee- Mamy towarzystwo.

Grant spojrział przed siebie po swojej lewej stronie, gdzie w labiryncie samochodów był zaparkowany mustang i jego spojrzenie się zwężyło.

-Jedna osoba. Jego aura jest słaba.

Słaby. Słowo, które było synonimem śmierci. Posłałam mu szybkie spojrzenie, po czym wysunęłam się spod jego ramienia, kopnięciem zrzuciłam szpilki i pobiegłam poprzez beton na bosych, cichych stopach. Raw wysunął się spod samochodu, przeskakując przede mną by zmiatać stłuczone szkło z mojej drogi. Raw był plamą ciemności poniżej potoku światła zimnej fluorescencyjnej latarni ulicznej i na szczęście, nikt inny dookoła nie mógł go zobaczyć. Tego samego nie można było powiedzieć o człowieku ukrywającym się przed moim samochodem.

Znajdował się na ziemi, oparty o zderzak z policzkiem opartym na chromie. Stary człowiek, być może po siedemdziesiątce w większości łysy,

z pierścieniem miękkich jak puch włosów dookoła tyłu jego głowy, które były białe jak śnieg. Ręce wielkie i siwe jak skórzane grabie trzymały kurczowo jego brzuch, krew sączyła mu się przez palce.

Dużo krwi. Siedział w kałuży krwi i nawet w złym świetle mogłam zobaczyć, że jego ciemne spodnie były błyszczące i mokre jak biała koszula w którą wsiąkał szkarłat wyciekający z jego ciała. Jego zamknięte oczy drgnęły i otworzyły się kiedy byłam mniej niż trzy stopy od niego. Błyszczące płonące spojrzenie, ostre z bólu ale zaostrzyło się jeszcze od inteligencji. Stary człowiek popatrzył na mnie z taką intensywnością, że zatrzymałam się kołysząc.

-W końcu - szepnął, z silnym angielskim akcentem, chociaż nie mogłam ustalić bliżej jego pochodzenia.

Usłyszałam za sobą nagłące stukanie laski, ale to był przyćmiony dźwięk porównany z... Ryczenie w moich uszach.

- Sir. Mamy zamiar tobie pomóc - Strzeliłam palcami. Chwilę później tampon gazy został rzucony w moim kierunku z cienia poniżej samochodu. Stary człowiek nie wydawał się zauważać, tego co się działo, taką miałam nadzieję, ponieważ nie mogłam wyjaśnić mu skąd nagle wziął się ten tampon. Spojrzał na mnie, z chciwym rozpoznawaniem, jak gdybym była kimś kogo on nie widział od lat.

Podniosłam gazę i wyciągnęłam ręce.

- Nie bój się

Starzec skrzywił się.

- Nigdy. Wyglądasz... tak samo.

Zamarłam po czym zmusiłam się by się znowu ruszyć, podchodząc blisko, brodząc bosymi stopami w jego krwi. Było to szokujące uczucie ciepła i chlupotania poniżej moich palców u nóg.

On nie był postrzelony. Został wielokrotnie pchnięty nożem w tym samym miejscu. Obronne rany pokrywały jego ramiona i było również głębokie cięcie wzdłuż jego gardła. Nie zobaczyłem wcześniej.

Sięgnęłam po niego.

- Sir, podniosę pańską rękę. Mam coś do położenia na pana ranie.

Stary człowiek przesunął się, ale tylko po to by sięgnąć do swojej kieszeni. Nie zwróciłam na to uwagi ale kucnęłam blisko, przyciskając gazę do jego rany i dociskając dół. Starzec jęczał, łaknąc powietrza. Drząc tak gwałtownie, że jego zęby szczekały. Różowa piana skropiła jego wargi.

Spojrzałam ponad moim ramieniem.

- Grant

- Zadzwoń pod 911 - mrucał zbliżając się - Pięć minut powiedzieli.

Nie mieliśmy pięciu minut. Spojrzałam w dół na moją prawą rękę, na rękawice błyskającą wzdłuż moich palców i zacisnęłam zęby. Mogłabym to zrobić. Mogłabym przenieść nas w przestrzeń do szpitala. Mogłam nawet przenieść nas w czasie, ale to postawiłoby nas w obliczu innego ryzyka. Ale nigdy nie dostałam takiej szansy. Stary człowiek chwycił moją rękę i ścisnął z zadziwiającą siłą wpatrując się w moje oczy z wytrącającą mnie z równowagi intensywnością

- Musisz to skończyć. Myśleliśmy... że to jest skończone, ale nie mieliśmy racji. Nie mieliśmy racji... i ona spróbowała... ostrzec nas.

Gapiałam się na niego, ale stary nie majaczył. Było za dużo ostrości w jego oczach, głębokiej wiedzy. To było twarde i zimne spojrzenie, a nawet przerażające. Jego desperacja była jedyną rzeczą utrzymującą go przy życiu, ale i ona również zanikała.

- Maxine Kiss - szepnął, mroząc mnie do kości.

- Mam ...wiadomość... od Jean.

Znałam tylko jedną Jeane. Moją babcią.

Ciepło ryczało przeze mnie. Starzec pchnął coś do mojej zmoczonej przez jego krew ręki. Płaska plastikowa karta i kawałek skóry.

- Skończ to, co ona zaczęła - odetchnął nierówno, ale byłam zbyt zdrętwiała by pytać go co miał na myśli. Oczy starego człowieka zadrgały i zamknęły się.

-Maxine - Grant wymruczał, pochylił się wspierając na lasce, jego palce potarły moje ramię.

- On jest prawie martwy. Mogę to zobaczyć. Nawet mógłbym zobaczyć to co się tu stało. Moje oczy płynęły od tej wizji.

Usłyszałam syreny w oddali i Zee podpełznął na czworakach bardzo blisko, spoglądając na umierającego starego człowieka ze szczególną zażyłością. Raw i Aaz byli tuż za nim, bliźniaki pod każdym względem z wyjątkiem domieszki srebra na podbródku Raw. Dek i Mal odwinęły się od moich włosów, wydając słabe dźwięki strapienia.

- Ernie, Zee zazgrzytał, ale stary nie otworzył już oczu. Cała jego moc, siła, jego desperacja, krwawiła z niego. Jego oddech zwolnił. Jego mięśnie rozluźniły się.

Obserwowałam jak umierał. Ręka Granta zacisnęła się na moim ramieniu. Ciągle jeszcze siedziałam ledwie zdolna by odetchnąć, zbyt przestraszona by oddychać małą część mnie miażdżył niewytłumaczalnym smutek. Nie znałam tego człowieka, ale czułam, że powinnam. Powinienem znać.

Zee westchnął przesuwając swoim szponem przez rozlewającą się krew starego człowieka. Umieścił odrobinę krwi na swoim języku, smakując i spojrzał ponad swoim ramieniem na innych, potrząsając

głową. Chciałabym się go zapytać, ale jeszcze nie teraz. Ledwie mogłam przełknąć kulę, która utkwiała w moim gardle. No i przybył ambulans a wraz z nim policja.

Oderwałam moje spojrzenie od starego człowieka i spojrzałam w dół na to co mi dał. Plastikowa karta była kluczem hotelowym i podałam ją ponad moim ramieniem Grantowi. Wziął klucz bez słowa i wsunął szybko do swojej kieszeni. Druga rzecz była znacznie mniej przyjemna. Była skórzana i pokryta zawiłymi wzorami z atramentu, wzorami, które przypominały róże. Ale to nie była normalna skóra. Przynajmniej, nie pochodziła od czegoś co ruszyło się na czterech nogach.

Trzymałam klapę z ludzkiej skóry.